Nowy kościół w Czyżewie, awanse za nadużycia na kolei, szansa na poskromienie pieniactwa w okolicach Nura i Zaręb, kołtun i macica nad Bugiem

Wstępem, przypisami i ilustracjami opatrzył Jerzy Madzelan.
Ilustracja wyróżniająca opracowanie:
Pięknie uformowana *plica polonica*, czyli kołtun polski.
Ilustracja do rozdziału poświęconego Polsce w dziele Salmona Thomasa, *Lo stato presente di tutti i paesi, e popoli del mondo naturale, politico e morale : con nuove osservazioni e correzioni, degli antichi e moderni viaggiatori, volume VII: Della Turchia in Europa, delle isole dell'arcipelago, Candia, Emorea, del regno della Polonia e de' Cosacchi Zaporowski*, Venezia 1737, pagina 659.
Źródło Biblioteka Narodowa – POLONA, sygn. SD XVIII.2.17155 t.7.

Z Czyżewa donoszą o poświęceniu nowego kościoła. Kościół został pobudowany podług planu Leonarda Marconiego, znanego architekta i budowniczego z Warszawy, syna włoskiego rzeźbiarza Ferrante, rodem z Bolonii, ale od roku 1828 zamieszkałego w naszym kraju. Nic zatem dziwnego, że wielkim finansowym wysiłkiem parafian świątynię postawiono w stylu włoskim.

Linię kolejową Siedlce-Ostrołęka wraz z liniami prowadzącymi m.in. z Mławy przez Warszawę do Kowla oraz z Koleją Terespolską połączono w roku 1896 w sieć nazwaną Kolejami Nadwiślańskimi (ros. *Priwislinskije żeleznyje dorogi*). Stanowiska kierownicze obejmowali Rosjanie w różny sposób zasłużeni, na przykład oficerowie wyrzuceni z jednostek za notoryczne pijaństwo. Niewielu porzucało dotychczasowe zwyczaje, co wiązało się z coraz to nowymi skandalami. Sposobem na walkę z nadużyciami były nieustanne przetasowania kadrowe. Lwowska gazeta informuje, iż Markow, naczelnik stacji Ostrów-Komorowo został za złodziejstwo zwolniony z dotychczasowego stanowiska i awansowany na zawiadowcę stacji w Nasielsku.

Dzieje się. W jednym numerze gazety zamieszczono aż cztery notki o wydarzeniach w naszym regionie. Informacja dnia to przeniesienie sądu gminnego z Zaręb do Andrzejewa. Korespondent gazety wyraża nadzieję, na zmniejszenie poziomu pieniactwa w okolicach Nura i Zaręb, bo nie wszystkim będzie się chciało fatygować do odległego Andrzejewa. Królem pieniaczy jest niejaki P. z Kałęczyna (pełnego nazwiska nie podajemy z obawy o pozew), który uczestniczy jednocześnie w około 100 sprawach. Inne wiadomości są nie mniej ekscytujące.

Dr Adam Jarosiński opowiada jak lud nadbużański radził sobie z potwornością, o której pewien medyk pisał: „Ze wszystkich zaiste chorób dotykających ród ludzki nie masz u nas gorszej, do leczenia trudniejszej i więcej wymagającej ofiar, nad kołtun[1]. Choroba ta panując od dawnych wieków nieznana dla nauki, nieposłuszna usiłowaniom ludzkim, zagnieżdżona i rozchodząca się w kraju, wyludnia go, a tem samem staje się wielką dla ludzkości klęską”[2].

[1] Praktycznie wszystkie sekrety tego dziwa ujawniono w artykule *Sekretna księga kołtuna*.
[2] Jan Oczapowski, *Praktyczny wykład chorób kołtunowych*, Warszawa 1839, s. 1-2.

Ważkimi refleksjami pragnie podzielić się z nami pan Stanisław, od pewnego czasu słomiany wdowiec. Jego obecna kondycja społeczna spowodowana jest faktem, że po dłuższej chorobie szanownej małżonki, ta postanowiła się udać w objazd po rodzinie zamieszkałej za granicą, nie wyłączając antypodów.

Pan Stanisław, nie angażował się nadto w wykonywanie zajęć domowych, gdyż jako jednostka inteligenta, starał się nie wyróżniać choćby minimalnym talentem w tej dziedzinie, zatem już po kilku minutach zleconej przez lepszą połowę pracy, ta odsuwała go od zmywaka czy odkurzacza, ze słowami – Nie potrafisz! Małżonek, przybierając niewinną, skruszoną minę i ogólnie prezentując sobą obraz żałosny, mógł się zająć własnymi sprawami.

Wyjazd małżonki przerwał to błogie *dolce vita*, a pan Stanisław musiał zakasać rękawy. Przed swą eskapadą żona udzieliła naszemu czytelnikowi długiego instruktażu, z którego tenże nic nie zapamiętał i nie zrozumiał, bo przecież – Kto rozsądny słuchałby żony?

Pierwsze dwa tygodnie przeszły dosyć gładko i szczęśliwie, bo wbrew tezom małżonki okazało się, że można sobie radzić bez sprzątania, zmywania i prania. Pan Stanisław odkrył, że przecież dania można spożywać prosto z garnka lub z patelni, co oszczędza nadmiernego zmywania, a tym samym jest niezwykle ekologiczne. Pranie bielizny też można ograniczyć do minimum, dokonując odpowiednich manipulacji poprzez jej zakładanie raz klasycznie, później tyłem do przodu, następnie wywracając na drugą stronę i powtarzając ten proces. Pojawiające się tu i ówdzie pajęczyny także panu Stanisławowi specjalnie nie przeszkadzały, bo przecież pajęczyna to penicylina, a zatem samo zdrowie.

Po pewnym czasie garnki i patelnie obrosły jednak warstwą brudu, która nawet naszemu korespondentowi zaczęła przeszkadzać. W szufladzie nie pozostała żadna sztuka bielizny, z którą nie dokonałby cyrkowych trików, a nawet nadmiar penicyliny począł panu Stanisławowi doskwierać.

Nie było innej rady jak sięgnąć po instruktaż małżonki, ale już wiemy, że pan Stanisław słowa z niego nie zapamiętał. Musiał zatem zmierzyć się z zadaniem, które zwykłemu śmiertelnikowi wydać się może niewykonalne. Na pierwszy ogień poszło zmywanie, obejmujące również czyszczenie kuchenki i piekarnika, które po przygotowaniu kilkudziesięciu gotowych dań typu pizza, prezentowały się fatalnie.

W szafce odszukał pojemniki ze środkami, których przeznaczenie znał z reklam telewizyjnych, a to z tej racji, że z wiekiem stracił refleks, a tym samym nie zawsze udaje mu się wyłączyć znienawidzone reklamy wystarczająco wcześnie. Dzięki tym telewizyjnym instrukcjom wiedział, że czyszczenie i zmywanie jest niezmiernie proste. Piekarnik jakby piekielnie brudny nie był, to wystarczy psiknąć polecanym środkiem, po kilku minutach przetrzeć szmatką psiknięte powierzchnie i wszystko będzie czyściutkie, milutkie, gotowe na przyrządzenie choćby i tysiąca pizz… łatwizna, a wręcz magia.

Jakże zdziwił się pan Stanisław, gdy odkrył, że nic nie jest tak proste, jak to zostało ukazane. Zaczął nawet czuć solidarność z tymi, którzy twierdzą, że telewizja kłamie. Łudził się jeszcze, że małżonka kupowała nieskuteczne środki, gdyż oglądała niewłaściwe reklamy, on zaś nie oglądał ich prawie wcale. Teraz, zamiast przełączać stację już na samą zapowiedź zbliżających się reklam, począł wszystko skrupulatnie oglądać, a nawet notować, by podejmować najlepsze, oparte na naukowych podstawach decyzje. Wiadomo przecież, że środek przebadany w dwudziestu instytucjach i szczycący się setką certyfikatów, musi być lepszy od tego, nad

którym mozolili się badacze z ledwie dziesięciu ośrodków i który posiada certyfikatów jedynie trzydzieści. Doszedł też do logicznego wniosku, że im coś jest droższe, tym musi być skuteczniejsze. Po wnikliwej analizie dokonał zakupu środka najdroższego, istnego *Wunderwaffe* w walce z brudem: przebadanego przez 160 instytucji badawczych z całego świata, od Ułan Bator po Limę; posiadacza 84 certyfikatów; niezliczonych, zdobytych na międzynarodowych wystawach, ozdobionych lakowymi pieczęciami dyplomów; uhonorowanego rojem, wyłącznie złotych medali. Ten środek nie działał jednak w ogóle, a zdaje się, że nawet utrwalał szpecące piekarnik plamy. Pan Stanisław odkrył prawidłowość, że trudność zmycia czegokolwiek danym środkiem jest wprost proporcjonalna, do liczby zamieszczanych w reklamach zapewnień, że coś jest niezawodne.

Nasz czytelnik to nie lukrowany mięczak, zatem nie zamierzał się poddać. Począł obserwować programy zwane telezakupami. Zdziwiło go, jak szybko są dokonywane przełomy w nauce. Szczególnie zainteresował się kijem do mopa, nazywanym przez prezenterów „owocem naukowej rewolucji". Nie minął tydzień, a pokazywano już kij nowy, choć pozornie ten sam, określany mianem „najnowszego naukowego przełomu". Ten zaś po mniej więcej siedmiu dniach ustąpił miejsca nowemu „niezwykle zaawansowanemu technologicznie" kijowi, który prezentował się niczym bliźniak poprzednich. Jest wielu ludzi ekscytujących się nauką i starających się dotrzymywać kroku przemianom. Nie minie rok, a tacy fascynaci mają każdy zakątek mieszkania wypełniony „naukowymi przełomami".

Ten pęd do wiedzy sprawia, że rzeczy, jak choćby telefony starzeją się w niesamowitym tempie. Rodzic, obdarowany przez los nadmiernie ambitnym naukowo dzieckiem już po kilku miesiącach od zakupu telefonu słyszy, że latorośl potrzebuje nowego, bo dotychczasowy to staroć, śmieć i przeżytek. Rośnie więc w szufladzie kupka nieużywanych telefonów, z których o dziwo połowa nie działa, bo jakimś cudem psują nawet wtedy, gdy nie są używane. Stos gadżetów przyrasta także skutkiem zmian w *designie*. Szał na telefony z obudową w szkocką kratę ni z tego, ni z owego przemija i nagle wszyscy pragną telefonów z obudową, ozdobioną tajskim alfabetem.

Powyższe dygresje skłoniły pana Stanisława do przyjrzenia się domowym sprzętom. Zauważył dziwną prawidłowość, że im większą liczbą przeróżnych lampek jest coś okraszone, tym wykonane jest z gorszej jakości materiału i szybciej się psuje. To samo dotyczy fantazyjnych kształtów. Twórcy tych przedmiotów przywiązują większą wagę do formy niż treści i w związku z powyższym, kosztem parametrów zamontowanego w środku silniczka, nadają im fikuśną fizjonomię. Jeszcze gorzej sprawują się urządzenia typu: „Strzyże, goli, rwie zęby i odbiera porody…". Nadmiar funkcji to gotowa recepta na rychłe złomowanie.

Ileż to pan Stanisław zdążył, wymienić przez trzy dekady lodówek? Nie sposób policzyć. Wysiadały tuż po wygaśnięciu gwarancji. Zawsze działo się to za sprawą jego własnej osoby. Wezwani mechanicy wyjaśniali, że lodówka nie stała na właściwie wyrównanej powierzchni, zbyt blisko lub zbyt daleko od ściany, temperatura w pomieszczeniu była nieodpowiednia, a wilgoć nazbyt zmienna. Dobrze, że pan Stanisław ma w nieogrzewanym, zawilgoconym, o niewypoziomowanej posadzce garażu, wciśniętą w róg, odziedziczoną po przodkach, a pochodzącą z początku lat osiemdziesiątych lodówkę z napisem *Минск.* Jest chyba niezniszczalna, bo kiedykolwiek ją włączyć, to działa. Ileż pięknych, wielofunkcyjnych, świecących się niczym bożonarodzeniowa choinka opiekaczy skończyło w śmieciach, a tymczasem ten kupiony w nieboszczce NRD, skryty wstydliwie w rogu szafki, brzydki jak noc

opiekacz wciąż jest gotowy do pracy. Może dlatego, że nie stworzono go z zmyślą o zachwycaniu feerią barw, kształtów i świateł? Nie wykonuje dziesięciu rzeczy naraz, nie daje się włączyć z pomocą Wi-Fi… no, ale opieka i to wystarczy.

Pan Stanisław przechodzi codziennie obok starożytnego, pochodzącego sprzed około pół tysiąca lat kościoła i zachodzi w głowę, jak pradawni antenaci mogli stworzyć coś takiego, właściwie z niczego, bo z gliny, piasku, wapna i wody, dysponując jedynie własnymi głowami, rękami oraz prymitywnymi narzędziami. Nasz czytelnik stawiał ostatnio sporą altanę. Przepisy wymagały, ażeby miejsce wyznaczył geodeta, ten zaś po przybyciu stwierdził, że zrobić tego nie może, gdyż działać przestał GPS. A przecież miejsce do posadowienia katedry Notre Dame wyznaczono z pomocą pręta i sznurka! Gdy budowa wreszcie ruszyła, to każdorazowa przerwa w dostawie prądu (co zdarza się w jego miejscowości, szczególnie w sezonie budowlanym) powodowała przerwę w pracy, a przecież budowniczy katedr nie śnili o elektryczności…

[„Przegląd Katolicki”, nr 1 z 6 stycznia 1876 r.]

Z dekanatu ostrowskiego. W dniu 21 listopada br. w ostatnią niedzielę po Świątkach byliśmy świadkami uroczystości poświęcenia nowego kościoła w osadzie Czyżew, dekanacie ostrowskim, diecezji płockiej. W przeciągu lat 10 już to trzeci nowy przybytek Boży w tej okolicy się wznosi. W roku bowiem 1865 poświęcony został nowy kościół w Bogutach, skromny prawda i mały, ale dostosowany do potrzeb i możności parafii. W roku 1870 poświęcony został kościół murowany dość obszerny w Nurze, o czym w swoim czasie była wzmianka w Przeglądzie Katolickim. Dziś na pociechę naszą i wszystkich wiernych, stanęła nowa świątynia Pańska, wspaniała, obszerna i piękna w Czyżewie.

Zanim jednakże przystąpię do bliższego jej opisu, warto uczynić rzut oka na przeszłość. Kościół czyżewski, jak tyle innych, erekcji pierwotnej nie posiada. Najszacowniejsze zabytki przeszłości spalone albo zniszczone zostały przez Szwedów podczas nieszczęśliwej wojny za Jana Kazimierza, którzy ani świątyniom, ani pamiątkom, ani kapłanom nie przepuszczali, paląc, niszcząc, rabując i zabijając, o czym pouczają nas zabytki historyczne, po wielu kościołach się znajdujące. To też przy prawie każdym starożytniejszym kościele zaczynają się dopiero metryki kościelne i akta urzędowe od drugiej połowy XVII wieku, czyli około roku 1660. Zatem i w Czyżewie pierwotny kościół zapewne uległ temu samemu losowi, bo najmniejszego nie można o nim znaleźć śladu. Pod rokiem dopiero 1697 czytamy o wizycie kościelnej, że w tym czasie wzniesiony został już drugi kościół parafialny z drzewa, staraniem parafian i ówczesnego biskupa płockiego Ludwika Załuskiego, który z Puszczy Glińskiej dał drzewa, ile potrzeba było do jego budowy. Lecz ta świątynia Pańska przetrwała zaledwie wiek jeden, bo już w roku 1801 została rozebraną i od tego czasu właściwie nie było kościoła, tylko tymczasowa kaplica, nieodpowiednia ani świętości miejsca, ani potrzebom duchowym parafian.

W tym stanie rzeczy, kiedy łaską Bożą tknięci kapłani, po wielu miejscach zaczęli się krzątać koło dźwigania świątyń Pańskich lub ich reperacji, proboszcz czyżewski, ks. Tomasz Godlewski, który już od lat 27 zarządza tą parafią, nie pozostał w tyle za innymi i pomimo już dość podeszłego wieku, bo liczy obecnie lat 56, w którym zwykle wszelka inicjatywa i energia ustaje, ufny Bogu, z młodzieńczym prawie zapałem wziął się do dzieła i szczęśliwie go w br. dokonał.

Fundamenty tej świątyni położone zostały w roku 1868. Następnie rozpoczęła się budowa podług planu Leonarda Markoniego, budowniczego z Warszawy. Styl kościoła jest włoski, z dwiema wieżami frontowymi, o trzech nawach sklepionych, posadzka z cementu, a dach pokryty łupkiem. Koszta budowy poniesione przez samych tylko parafian jako w osadzie prywatnej, wynoszą już dzisiaj, oprócz wszelkiej pomocy bezpłatnej, około 30.000 rubli. Prawdziwie wielki to cud i łaska Pana Boga, dziś przy dobrowolnej tylko składce, zebrać w tak krytycznych czasach i od niezamożnej w ogóle parafii tak znaczną sumę!

Leonard Marconi, architekt i budowniczy czyżewskiego kościoła, „Tygodnik Ilustrowany” 1899, nr 16, s. 317. Źródło: Mazowiecka Biblioteka Cyfrowa *mbc.cyfrowemazowsze.pl*.

Oto najlepszy dowód, że wiara tkwi jeszcze w sercach ludu, że tenże ostatek prawie niesie na ofiarę Bogu, choć przyznać trzeba, że i obywatele w ogóle prawie, przyłożyli się także chętnie, już materiałami, już gotowizną do budowy tego kościoła. Ale chociaż zewnętrzny widok tego kościoła jest piękny i okazały, wewnątrz bardzo wiele jeszcze brakuje. Jest wprawdzie dosyć ozdobny organ, wykonany przez organmistrza Dłużewskiego, o 14 głosach z pedałem, jest i kilka ławek i konfesjonałów, ale nie ma jeszcze ołtarzy, ani obrazów, tylko tymczasowo urządzone. Zakrystia także bardzo jest ubogą, a aparatów kościelnych prawie nie ma. Sądzę jednak, że doświadczona gorliwość młodego proboszcza, jak niemniej dobre i poczciwe serca, tak parafian czyżewskich jako i innych, dopełnią przyozdobienia tej świątyni Pańskiej.

Ceremonii [poświęcenia] kościoła dopełnił upoważniony przez Władzę Duchowną, miejscowy dziekan Jks. Adam Jarnutowski, w asystencji kondekalnych kapłanów i kilku z ościennych parafii. Słowo Boże, zastosowane do uroczystości, wygłosił ks. Maksymilian Majcherski, proboszcz z Jasienicy, który wybitnie odznacza się u nas nie tylko talentem, ale i chęcią do głoszenia słowa Bożego, a tym łatwiej i serdeczniej mógł się wywiązać ze swego zadania, że sam także dźwiga nową świątynię Pańską, której mamy nadzieję w Bogu za lat dwa doczekać.

Nie piszę tu żadnych panegiryków ani nie przemawiam *pro domo sua* [dla własnej korzyści], lecz cytuję same fakty i śmiało powiedzieć mogę, że okolica tutejsza szczególnie się odznacza pod względem dbałości i ozdoby świątyń Pańskich, a wyjątki od tego są nader małe. To też ta gorliwość z Ducha Bożego płynąca i na lud bardzo korzystnie oddziaływa. Kto był obecny na ceremonii poświęcenia kościoła w Czyżewie i widział z górą 10-tysiączne zgromadzenie ludu, jego radość, jego zapał, jego pobożność, ten musiał w szczerości serca wyznać, że nie jest jeszcze tak źle na świecie, że są ludzie, co pamiętają jeszcze o Bogu i o Kościele, że są jeszcze tacy, co mają żywą wiarę, co Bogu nie skąpią z Jego darów ofiary. Zatem nie pozostaje nam, jak tylko prosić Jego łaski i miłosierdzia dla wszystkich ludzi dobrej woli na ziemi. *Gloria in excelsis Deo, et in terra pax hominibus bonae voluntatis*[3].

Ks. Jan Kącki

[„Przegląd Wszechpolski”, nr 12 z grudnia 1899 r.]

Naczelnik stacji Ostrów-Komorowo Kolei Nadwiślańskiej, Markow, za nadużycia i złodziejstwa uwolniony chwilowo od obowiązków, otrzymał posadę zawiadowcy stacji Nasielsk na Kolei Nadwiślańskiej. Zwierow zawiadowca stacji Chełm Kolei Nadwiślańskiej, za złodziejstwo i przekupstwo uwolniony, otrzymał posadę zawiadowcy st. Włodawa na tejże Kolei. Grynkiewicz, zawiadowca st. Jabłonna Kolei Nadwiślańskiej, ukradł 1300 rubli, które jak to sam przyznał, wydał na wyprawę dla córek, awansowany na posadę zawiadowcy st. Modlin tejże Kolei. Rubli 1300 zapłacił na razie naczelnik ruchu Wierchowskij, a dziś odbiera także ratami od Grynkiewicza. Pietrowski, syn żandarma, b. zawiadowca stacji Konopki Kolei Nadwiślańskiej przeniesiony do Sławuty na Kolejach Południowo-Zachodnich, gdzie okradł kasę i został wypędzony, przyjęty z powrotem na Kolej Nadwiślańską, mianowany zawiadowcą st. Celestynów. Juszkow, oficer, wypędzony z pułku za pijaństwo i szulerstwo, mianowany pomocnikiem zawiadowcy st. Kotuń na Kolei Nadwiślańskiej (dawniej Terespolskiej).

[3] Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli [przyp. aut. opracowania].

[„Echa Płockie i Łomżyńskie”, nr 7 z 23 stycznia 1901 r.]

Z okolic Nura. Sąd gminny, który mieścił się dotychczas w Zarębach Kościelnych, na samym krańcu gminy położonych, przeniesiony został do Andrzejewa, pomimo oporu zarębiaków. Może choć w części zmniejszy się u nas pieniactwo, ponieważ od Nura do Andrzejewa jest przeszło 2 mile drogi, więc nie wszystkim będzie się chciało chodzić tak daleko do sądu o byle drobnostkę. We wsi np. Kałęczynie Podborskim mieszka znany procesowicz P., który wraz ze swym zięciem B. miewają po 100 spraw rocznie. Wszyscy kałęczanie oburzanie oburzają się na niego, bo ileż to dni roboczych traci wielu z nas powołanych jako świadkowie z racji jednego pieniacza.

W sądzie gminnym czyżewskim było osądzonym w roku zeszłym, z górą 1100 spraw. Z tego można mieć wyobrażenie o ciężkiej robocie sekretarzy, którzy do każdej sprawy muszą sporządzić przeciętnie 20 wezwań, oprócz innych protokołów.

We wsi Zuzel mieszka żebraczka, niejaka Uścińska, która przeżyła już z górą 104 lata (urodzona według aktu r. 1795). W ostatnich czasach w czasie mrozów chorowała, ale przetrzymała chorobę i znowu zdrowa. Uścińska z zebranych pieniędzy dała już 40 rubli na swój pogrzeb, obecnie znowu ofiarowała ks. Lipowskiemu 40 rubli na budowę kościoła.

Członkami dozoru kościelnego wybrani zostali pp.: Al. Żebrowski ze wsi Podgórza, F. Gardecki z Zakrzewa-Słomy i A. Poniatowski z Zuzeli.

M. Łomżyniak

Z Zarąb Kościelnych (pow. ostrowski) piszą do nas: „Założoną tu zostanie staraniem komitetu trzeźwości czytelnia, według typu tego rodzaju czytelni zakładanych przez te komitety. Zarządzającym zostaje nauczyciel miejscowy p. Szarpaliński. Nasi mieszczanie po spaleniu się, budują w dalszym ciągu domy drewniane, które przecież zawsze podatniejsze są dla pożaru. Ale widocznie wypada im tak z obrachunku.

Zuzel. W d. 15 bm. wybuchł tu pożar w domu Jaroszewskiej. Dzięki pomocy p. Mikułowskiego, właściciela Pętkowa, który zachęcił przypatrujących się bezczynnie ogniowi do ratunku, ogień został zgaszony.

W Andrzejewie (pow. ostrowski) potrzebny jest jak na donoszą lekarz. Znalazłby on w okolicy dużą praktykę.

[„Gazeta Podlaska”, nr 19 z 18 maja 1924 r.]

LISTY ZE STERDYNI
MACICA i KOŁTUN

Według pojęć tutejszego ludu, w każdym człowieku tkwią albo nań czyhają utajone siły, które rade mu przy sposobności dokuczyć. Siły te są to „Macica” i „Kołtun”, które gdy opanują człowieka i „zezłują się”, sprowadzają nań najrozmaitsze fizyczne dolegliwości.

Macica w charakterze żeńskim obiera za teren swego działania jamę brzuszną. Tam ona człowieka dręczy, wywołując kolki, rozpierania, odbijania, nudności. Jest wielce ruchliwą, nie usiedzi w jednym miejscu, a „chodzi po człowieku”, „podstępuje do gardła”. Obok tego zachowuje się niesfornie, głośno, wywołuje najrozmaitsze odgłosy, najczęściej „skrzeczy jak zaba”.

Kołtun jest to jegomość o charakterze męskim, który operuje przeważnie na kończynach, głowie i tułowiu.

Jest to despota i jednocześnie gwałtownik, który, gdy sprowadzi na człowieka „żądobę” i ten zapragnie jabłka, kiełbasy, śledzia lub miodu, to „musowo” momentalnie zadowolnić chorego, gdyż inaczej kołtun się zezłuje: zegnie człowieka w tył, jak „kabłąk”, zewrze mu szczęki, wywoła drgawki, będzie szczypać po głowie, odbierze mowę, pokręci stawy. Gdy się uweźmie, to sprowadza na człowieka duszność, pobudza do kaszlu, wywoła opuchliznę, gorączkę, skręci i zwinie w jedną masę włosy na głowie.

Jednych ludzi „męczy” kołtun, drugich „dręczy macica”, a bywają wypadki, że obie te siły na utrapienie ludzkie porozumiewają się i działają wspólnie. Pamiętam jedną wieśniaczkę z okolic Kossowa, która zgłosiła się do mnie o poradę z powodu licznych mięsakowatych guzów na ciele. Ktoś z otoczenia chorej pouczył mnie: „Widzi Pan, męczy ją od dawna macica, która w ostatnich czasach zezłowała się, sprzęgła się z kołtunem i okociła się”.

Kołtunowi należy czasami dopomóc, by się uzewnętrznił, tj. by zwinął się na głowie. Wtedy polewa się głowę lepkim naparem barwinku, zbiera się włosy w kłąb i kołtun gotów. Również nie należy przeszkadzać kołtunowi, gdy sam chce się zwinąć, nie rozczesywać przeto broń Boże, włosów na głowie chorego. Szkaradnik tego nie znosi i po swojemu gotów się zemścić.

Gdy kołtun się zwinie, należy go nosić rok, dwa lub dłużej, a gdy się „dostoi”, można go „zdjąć”, ale nie przez zwykłe obcięcie, a tylko przez odpalenie rozpalonym drutem. Potrafi to wykonać tylko specjalista, świadomy, jak należy to czynić i jakie zaklęcia i modlitwy przy tym obrządku stosować.

Inny kołtun wymaga, by go kilkakrotnie „zapuszczać”, są przeto kołtuniaste niewiasty, które z przerwami hołdują kołtun na głowie przez całe życie.

W taki sposób lud wyobraża sobie powstawanie wielu chorób, osobliwie przewlekłych i obrazowo je maluje.

Przed 30-u laty kołtun w postaci splątanych włosów na głowie lub nawet w owłosieniu na twarzy mężczyzn w sterdyńskiej okolicy był zjawiskiem częstym. Najczęściej widziało się

„kołtuniaste” kobiety, rzadziej dzieci, wyjątkowo mężczyzn. Czasami spotykałem również kołtuniaste Żydówki i starych Żydów z kołtunami w brodzie.

Ludzie z kołtunami są to osobniki obarczone przewlekłymi cierpieniami, zwykle różnej postaci gruźlicą, wadami serca, chronicznymi chorobami nerek, reumatyzmami mięśni i stawów, rozmaitymi nerwobólami. Pod względem czystości są to ludzie bardzo zaniedbani.

Do szpitala sterdyńskiego zgłaszało się wielu kołtuniastych, szukając pomocy w swoich dolegliwościach. U chorych tych z powodu bogatej fauny we włosach trudno było zachować czystość. Przy przyjmowaniu przeto kołtuniastego osobnika do szpitala, o ile wypadek nie był nagły, stawiałem za warunek obcięcie kołtuna. W wielu razach na mój warunek chory się nie zgadzał i rezygnował z leczenia szpitalnego, ci zaś, których się udało przekonać i poddać operacji nożycami, byli zadowoleni i jakoś ich nie „pokręciło”.

Dziś kołtun i macica jako przyczyny chorób w opinii ludu tutejszego jeszcze panują i zapewne długo panować będą, skołtunione jednak włosy spotyka się już rzadko.

Plicam polonicam – Polski Kołtun – do niedawna wyodrębniano jako jednostkę chorobową. Zaszczytu to nam nie przynosi.

Dr A. Jarosiński

„Matka Boska Hodyszewska, opiekunka Puszczańskiego ludu…”[4].

[4] Ferdynand Antoni Ossendowski, *Puszcze polskie*, Poznań 1936s. s. 234.